

Bogumiła Dziekan
Redakcja Literacka

365
Dnia: 9.12.1969 r.
godz.: 12.25 - 12.40

O JEDNYM UCZCIWYM
=====

Wojewódzki Urząd Sądowy w Bydgoszczy
Publikacja i Wydział
BYDGOSZCZ
zapewnia się
na wydanie
Nr. 14-14
5.12.69

Wreszcie ominęłam ludzi. Z ulgą uwolniwszy się od spojrzeń, które jak sądziłam pilnie śledziły moje więdnące ciało, ze szczególnym uwzględnieniem wielkiego, krętego żylaka na lewej nodze, potem z uwagą przyglądałam się swojemu cieniowi spokojnie - ponieważ stanęłam - leżącemu na piasku. A cień był smukły i długi, iście dziewczęcy choć bynajmniej nie zniekształcony. Widziałam to przecież dobrze. Na kamieniu tuż obok, ciągle oblewanym przez morze, leżała wiązka ponuro zielonych wodorostów. Wyobraziłam sobie, że owym oślizgłym zielskiem o niewiadomej nazwie bawi się mała dziewczynka, ta sama, która wczoraj prosiła swoją mamę: "Daj mi, kochana, chociaż posmakować morza nóżkami" - widziałam prawie jak przewleka w rączkach owo nie wiadomo co, uśmiecha się pięknie i tej zagniewanej mamie - wczoraj mama była zła, wyraźnie bez powodu - tłumaczy, że to jest warkocz syreny, na co ta, dbała o prawdę i prostolinijne wychowanie dziecka, tupiąc stwierdza, że nigdy, nigdzie, nie ma, nie było i nie będzie syren.

Zupełnie się z tym zgadzam, bo przecież trudno go przyrównać do syreny. Prędeż już do Archanioła Gabriela, ponieważ ten, znaczy się Gabriel, kojarzy się z czymś niewyraźnym o męskiej jednak płci, no i z czymś już wyraźnie jasnym. Aby przywołać jego obraz - tego młodego człowieka, poznanego w najbardziej głupi sposób - piszę jego imię palcem na piasku. Nie ma obrazu, dalej trwa ta jasność i nagle mojej pamięci przywrócony zostaje skrawek czoła i drobne kręcące się włosy tuż przy jego nasadzie. I to ma być to W s z y s t k o z czym kokoszę się nad tym cholernym morzem już od tygodnia ?

Mogę sobie dowoli przypominać i przetrwać okoliczności, bo choć minął zaledwie tydzień, zupełnie nie pamiętam tego człowieka poza skrawkiem czoła i włosów, ale przede wszystkim rozpamiętywać mogę własny nadmiar inwencji. Bo (tylko on) był. Najpierw siedział na ławce w słońcu i błyszczał, a potem przychodził, siadał zawsze na tym samym ~~miejsce~~ miejscu, najbardziej wszystkich denerwującym miejscu, ponieważ tarasował drzwi, a ruszał się w ogóle ciężko, sennie przymykał oczy, ale nie ziewał, sprawiał jednak wrażenie, że runie za chwilę na podłogę runie ciężko i zwaliście i nareszcie z serca zachrapie. Przypuszczam, że wszystkim przyniosłoby to ulgę. Bo moim wyczynom przyglądała się cała rodzina, ponieważ mieszkamy kupą, jak za dawnych czasów i wszyscy

dla siebie stanowimy całkiem nielichy teatr, bez przerwy obserwujemy siebie i innych, innych w stosunku do nas, nas do innych, rozmaite krzyżówki i kombinacje. Przypuszczam, że koniec świata, obojętnie czym spowodowany, nie zainteresowałby nas specjalnie, bylibyśmy zajęci baczniejszą obserwacją reakcji własnych i cudzych. Sos gęsty i lepki, obrzydliwy i smaczny zarazem. Toteż radość sprawiłam im nieklamana, holując jeszcze jednego obserwatora, bo chyba obserwował nas, siedząc pod drzwiami i prawie śpiąc. W każdym razie tak orzekł dziadek, a denerwujące jest i szokujące zarazem, że przeważnie się nie myli. Inni - wszelkie pocioty, siostry i szwagrowie zgodnym chórem zapiali, że ja mądry - wniosek trochę irracjonalny, ale chętnie przeze mnie podzielany, bo ktoś, kto w takim jak nasz ulu milczy, musi być mądry. Natomiast o mnie dziadek powiadał beznamiętnie i jakby z radością: a ty zachowujesz się jak ~~kurwa~~! wcale cię takiej nie znałem. Ile to jednak możliwości w człowieku! - No bo też zamieniałam się niejako z pasją w najgorsze wcielenie Ewy ciskającej nie jednym małym jabłuszkiem, ale potrzęsającą razno i z niezwykłą gwałtownością całą jabłonią. Płonęłam potem z wysiłku i wstydu, jałowego, bo niczego nie zmieniał, a facet drzemał mądrze przy drzwiach. Życiorys, który mu rodzina moja dorabiała, stanowił nielada zabawę

dla wszystkich, a ponieważ w tych stronach był ptakiem przelotnym, wykonującym pracę pożyteczną, życiorys, od najjordanarniejszych cynizmów, strzelał nagle ku wzniosłościom trącącym, jak my wszyscy, myszką. W końcu zainteresowanie niczym nie podsycane - prócz trawiącego mnie ognia - zbladło - gość wytrącał nas z pasji obserwowania siebie, był jak stojąca woda, więc komuś, kto byłby o połowę mniej kulturalny - Bóg wie z czego wysnuliśmy wniosek o jego kulturze, chyba z wykonywanego przez niego zawodu - ^{ay} zbłysła przynajmniej myśl, że czas wielki do odwrotu, ale nie jemu. Chętnie i dużo jadł. Dziadek przypuszczał, że gdyby mógł, zostawałby u nas na noc, bo odchodząc wreszcie po długich godzinach tarasowania drzwi, sprawiał wrażenie złamanego, ociągał się, przysiadł na chwilę np. kiedyś ktoś z rodziny, wtedy, kiedy on się podnosił, zapalał papierosa, by ukryć spadek napięcia i ulgę, siadał z wyraźną radością. Byliśmy wykończeni. Oni z innego i ja z innego powodu, choć się z nimi solidaryzowałam, kiedy nagle chłopak / bo był jednak cholernie młody - no, szczęście - powiadał dziadek, że choć matką jego nie mogłabyś być / wystrzelił dźwiękiem i całkiem niespodzianym monologiem. Mówił o swojej pracy, o nauce o środowisku, które na krótki czas opóścił, ^W mówił o perspektywach nauki i przyszłości świata.

Należałoby się raczej zastanowić, o czym nie mówił. Zaczadziło nas, bo akurat to było to wszystko czego nam brakowało, poczuliśmy się pasożytami, jednostkami społecznymi, choć każdy z nas pracował, ale to za mało, za mało. Wstrętem przejęła nas nasza zdolność obserwacji, ta baczna uwaga poświęcona temu człowiekowi. To nie on był stojącą wodą, to my byliśmy małą kakużą gdzieś w kącie, zdala od wszystkiego co nowe, świeże. Kiedy nareszcie poszedł - a tak jak milczał długo, tak też długo mówił - pocieszaliśmy się jedynie tym, że przecież od czasu do czasu niejako telepatycznie wyczuwaliśmy, że on jest mądry.

Czego więc od nas chciał? Wtedy dziadek jak zwykle przyćmił nas uwagą, "Przecież ludzie kochani, gdzie on znajdzie takich, jak my? Toż wiecie przecież, że wymierające gatunki są pod ochroną i chodzi się koło nich i hołubi. No to jest właśnie coś takiego. Oczywiście ona - tu wskazał na mnie palcem, który w odróżnieniu od bezsilnych wątplych łapek tego mądrego, był częścią ręki pięknej, mocnej i męskiej - oczywiście ona - powtórzył - ma swoją koncepcję, znowu - to podkreślił - wydaje jej się, że jest zakochana, uwielbia, jak wiemy, cierpienie, a ten jej go dostarczy, oj dostarczy".

Faktycznie miałam swoją koncepcję, mnie z tym sennym coś łączyło, jakaś więź, coś co z każdym dniem nabierało mocy, a udręka brała się

z niemożności sprawdzenia. Czy rzeczywiście tak jest ?

No i postanowiłam wyjechać, a lato było właśnie i pora urlopów. Dzień przed wyjazdem oznajmiłam to naszemu gościowi. Było wyjątkowo zimno, więc napaliliśmy w piecu - nie trzymamy się ściśle pór roku, palimy, kiedy nam to odpowiada i ta - jak mówi dziadek - "nonszalancja" napawa nas niejako dumą - dzień był pochmurny, kojarzył się z jesienią a nawet zimą. Kiedy powiedziałam: "wie pan jutro wyjeżdżam" - zaległa cisza, choć wszyscy byli w pokoju, gość jak zwykle pod drzwiami, i pomyślałam, że zaraz zacznie padać śnieg, a że muszę swoje odczucia nazywać, więc to nazwałam szczęściem, bo on, kiedy usłyszał o moim wyjeździe odmienił się tak wyraźnie, że absolutnie wszyscy osłupieli. Te ociężałe powieki podniósł i jaśniał, jak na tej ławce w słońcu, odkrywał jakies nieznane twarze, patrzył tylko na mnie i zrobił taki jakiś ruch ręką jak gdyby odganiał to zdanie o wyjeździe, w każdym razie był to sprzeciw.

No i z tym ruchem i ze skrawkiem włosów przy nasadzie czoła, także z entuzjazmem rodziny, dla której nareszcie zaczęło się coś dziać i gość stał się bliższy i ciekawszy zarazem, on cię kocha jak szalony - powiadali - znalazłam się tu nad morzem. Pogoda jest różna, od upałów iście tropikalnych, do chłódów, kiedy morze szumi, plaże

377

pustoszeją, po niebie przewalają się szare chmury. Wysoko nad morzem fruują duże ptaki, jedni twierdzą, że to żabędzie, inni, że gęsi. Chodzę na spacer, ciągle i wszędzie noszę ze sobą tę jasność, ten rudo i ów skrawek czoła. Jest we mnie ciągle obecny, z moim brakiem uzdolnień, by cieszyć się długo, cieszę się nim nieustannie, odmieniam się i ogromnie siebie polubiłam. Różnica wieku, nie taka znów wielka, zresztą przy tego rodzaju uczuciach, a to można zaliczyć do największych może wyjątkowych zupełnie, więc taki drobiazg się nie liczy. Czekam teraz na list od niego w odpowiedzi na mój. Myślę, że ten do niego, jest listem mojego życia. Na pewno jest piękny, choć nie ma w nim nic o uczuciach.

Znowu minęło trochę czasu, który odmienił się w kolorach i tonacji. Mój list pozostał bez odpowiedzi, ach jak te piękności runęły z wysokiej góry, jak się porozbijały. Klęłam swoją wielką imaginację razem z senną twarzą tego, który był, a której przypomnieć nie umiałam. Telegram od razu przeniósł mnie w inne jakieś rejony odczuwania, o których wcale nie wiedziałam, że istnieją. Wystroiłam się na jego przyjazd tak, że mnie samą w końcu to żenowało. Na stacji ogarnęła mnie panika, przecież go nie pozna-m...

Poznałam od razu. Szedł lekko powłócząc nogami, bez uśmiechu i czułam się, jak księżyc przyciągający lunatyków. Nie chciał jeść ani pić, chciał tylko nad morze, po męczącej podróży, on musiał nad morze, teraz w mrozie prawie, w siąpiącym deszczu. Był cholernie wytrzymały, dojdzie, jak przypuszczam, do wielkich rzeczy.

* Zdaje się, że w życiu tak nie zmarłam, jak w czasie tego spaceru. Morze przewalało się, nie wiem dlaczego, niegroźnie, ale ~~satyrycznie~~, złośliwie, bezmyślnie właściwie.. Wydawało mi się, w miarę, jak mówił, że zewsząd z morza, z pustych szarych plaż, z lasu kołyszącego się bezsilnie, rozbrzmiewa requiem. Ucieszyły mnie moje nieukrywane uzdolnienia muzyczne. A ten mówił, cały czas mówił, zdaje się, że głośno. Roztaczał przede mną uroki mojej rodziny, w której się zakochał, jest oczarowany, olśniony :

- I to przyjechał mi pan powiedzieć ?

- Nie - odparł od razu i znowu pojawił mi się, jako człowiek zdecydowany, nie robił przerw, walił prosto z mostu.

- Pani list - powiedział (zmusił) mnie do przyjazdu.

Znowu mówił długo, ale wszystko było nieważne, wobec ostatniego zdania, którym zakończył ten najzimniejszy spacer w moim życiu i wszelkie z nim dalsze, ewentualne.

- Nigdy panią ~~nie~~ nie kochałem i nie pokocham. To niemożliwe.

P r z y j e c h a ł m i to powiedzieć, ponieważ
był także człowiekiem uczciwym.